All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 4go MARCA 1897 ROKU. **Nr. 9.**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 4 Marca, Kazimierza. Piątek 5 Marca, Fryderyka. Sobota 6 Marca, Frydolina. Niedziela 7 Marca, Tomasza. Poniedziałek 8 Marca, Jana Boż. Wtorek 9 Marca, Franciszka. Środa 10 Marca, suche dni, 40 męcz.

Na Niedzielę I Postu.

Ewangielia św. Mateusza w rozdziale IV.

Onego czasu zaprowadzon jest Jezus na puszczę od Ducha, aby był kuszon od djabła. A gdy pościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, potem łaknął. I przystąpiwszy kusiciel, rzekł mu: jeśliś jest Syn Boży, powiedz, aby te kamienie stały się chlebem. Który odpowiadając, rzekł: Napisano jest: nie samym chlebem żyje człowiek, ale wszelkiem słowem, które pochodzi z ust Bożych. Tedy go wziął djabeł do miasta świętego, i postawił go na ganku kościelnym, i rzekł mu: jeśliś jest Syn Boży, spuść się na dół, albowiem napisano jest: iż Aniołom swoim rozkazał o tobie, i będą cię na ręku nosić, abyś snadź nie obraził nogi twojej. Nie będziesz kusił Pana Boga twego. Wziął go znów djabeł na górę wysoką bardzo i ukazał mu wszystkie Królestwa świata, i chwałę ich i rzekł mu: To wszystko dam tobie, jeśli upadłszy, uczynisz mi pokłon. Tedy mu rzekł Jezus: pójdź precz szatanie, albowiem napisano jest: Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz, a Jemu samemu służyć będziesz. Tedy opuścił go djabeł: a oto Aniołowie przystąpili i służyli Jemu.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

NAUKA.

Wstępujemy w czas postu świętego, który Chrystus Pan uświęcił i ustanowił poszcząc dni czterdzieści na puszczy.

I my chrześcianie katolicy idąc za przykładem Zbawiciela przez sześć i pół tygodnia wstrzymujemy się od pokarmów mięsnych, albo zupełnie, albo za dyspensą swego pasterza tylko w środy, piątki i soboty. Nadto przestrzegamy tego, aby przez ten czas tylko raz jeden najeść się do sytości, a zresztą poprzestawać na skromnem posileniu.

Dawniej był taki zwyczaj, iż i od masła, nabiału i jaj przodkowie i ojcowie, a nawet i starsi z pośród nas się wstrzymywali. Dziś wskutek odmiennych czasów, a zatem łagodniejszych przepisów obowiązek ten zniesiony został, co jednakże nie przeszkadza, iżbyśmy w Popielec i Wielki Piątek starodawny zwyczaj zachowali i w te wielkie dni pokutne masła także nie używali.

Nie samym atoli postem i suszeniem w tym czasie przed Bogiem się kajać i za przewinienia nasze pokutować mamy, Oto sam Chrystus poszcząc przez 40 dni daje nam piękny do naśladowania wzór i przykład — co nadto czynić winniśmy.

1. Idzie za sprawą Ducha św. na puszczę tj. na samotność.

2. Mężnie odpycha pokusy szatańskie.

I. Wśród zgiełku świata, wśród ciągłych zajęć doczesnych, spraw i interesów tego świata, schnie i marnieje dusza człowieka, jeśli w modlitwie i nabożeństwie, w Sakramentach świętych nie ma tej rosy niebieskiej, która jej daje wzrost i siłę.

W dawnych wiekach, w pierwszych mianowicie czasach chrześciaństwa ludzie pobożni szli na pustynią i jako pustelnicy, słupnicy i pokutnicy w samotności żywot pędzili, aby w styczności ze światem nie mieć okazyi do grzechu. Do dziś dnia jeszcze tu i owdzie tacy pustelnicy się spotykają.

Drugiem miejscem schronienia się od świata były klasztory, w których tak niewiasty jak mężczyźni Panu Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeństwo ślubują, i choć w ludnych miastach i w świecie, ale jednak zdala od niego na służbie Bożej wyłącznie trwają.

Kto do klasztoru wstąpić nie może, a skazany jest na to, aby żyć w świecie, pracować dla siebie, dla rodziny i dla kraju, ten może stworzyć samotność, bez puszczy i bez klasztoru, a post święty najodpowiedniejszą do tego porą. W tym czasie Kościół Boży zakazuje wesół hałaśliwych, zabaw i tańców głośnych, biesiad hucznych — więc takich rzeczy unikać, a w domu pracy i modlitwie poświęcać się należy.

W szynkach i karczmach ile złego swój początek ma, któż z nas nie wie.

Gry w karty lub kości albo cię rujnują. albo jeźli wygrywasz — uczą cię na ślepym trafunku, a nie na pracy i pomocy Bożej szczęście swoje zakładać.

Jeźli tego wszystkiego uniknąć chcesz — idź za Chrystusem i w samotności domowej obrony szukaj przeciw złemu i przeciw pokusie.

II. Od pokus nikt z nas wolny nie jest — nawet Chrystus był kuszon od djabła. To kuszenie Pana Jezusa przez ducha złego na puszczy jest dla nas: *a*) nauką, *b*) przestrogą, *c*) pociechą.

a). Nauką. Gdy jesteś kuszony, gdy cię pokusy trapią, patrz na Chrystusa — jak on z niemi walczy. Nie wśród zgiełku światowego, nie wśród zabawy i hucznej muzyki opiera się Pan Jezus szatańskim najazdom — lecz wśród postu, wśród samotności, wśród modlitwy.

Nie czwarzy się Pan Jezus z szatanem, nie nadstawia ucha pokusie, nie targuje się z nią, jak to niejednokrotnie my czynić zwykliśmy — ale od razu powiada: Napisano jest: nie będziesz kusił Pana Boga twego! — albo "Idź precz szatanie!"

Gdy szatan przychodzi do ciebie, miły Bracie i powiada w pokusie: "Podziel się między mną a Bogiem, daj mnie młodość a Bogu starość — daj mnie wiosnę życia, a Bogu zimę;" wtedy przypomnij sobie, co mówi Pismo św.: Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną! — i za Chrystusem powiedz: Idź precz szatanie! — a Anioł Stroż przybędzie do ciebie i lepszemi myślami natchnie duszę Twoją.

b). Przestrogą. Wielu jest pośród nas takich, którzy jako tako służąc Panu Bogu, sądzą, iż się za wolnych od pokusy uważać mogą. Do takich odzywa się z surowem napomnieniem Paweł św. wołając: Kto stoi niechaj patrzy, aby nie upadł! Niechaj się nikt bezpiecznym nie czuje, choćby jak najdłużej od pokusy był wolny, albowiem jak nieprzyjaciel w boju, tak wróg duszy naszej w kuszeniu człowieka podstępny jest i przebiegły.

Kiedy przodkowie nasi wojowali z Tatarami, wielce się mieli na baczności nawet wtedy, gdy Tatarzy przed nimi uchodzili; bo taki był często obyczaj tatarski, że uciekłszy przed przeciwnikiem, znienacka na niego uderzali i zwyciężali w tej samej chwili, w które przeciwnik sądził, iż jest bezpiecznym zupełnie. Tak samo czyni i nieprzyjaciel duszy — bądźmy przeto ostrożnymi, albowiem według słów św. Piotra: nieprzyjaciel nasz krąży jako lew ryczący szukając kogoby pożarł. Chrystus mężnie poczynający przeciw kusicielowi niechaj nam będzie przestrogą.

c). Pociechą. Są ludzie, a mianowicie niewiasty, którzy nagabywani będąc przez pokusę, zaraz popadają w rozpacz i sądzą, że już na gniew Boży, na wieczne zatracenie zasłużyli.

Błędne to i grzeszne mniemanie — albowiem pokusa — to jeszcze nie grzech. Pokusa, jak słusznie powiada jeden z Ojców Kościoła, to pies uwiązany na łańcuchu, który na ciebie szczekać może, jak szczeka nieraz na księżyc i na Bożą mękę nawet, ale który ukąsać cię nie może, jeźli się do niego sam dobrowolnie nie zbliżysz.

Święta Katarzyna ze Sienny przez długie lata nagabywana była przez pokusy najnatarczywsze i najbrzydsze, tak iż zdawało jej się, że już zupełnie wpadła w sidła szatańskie. Gdy w świętem zachwyceniu ujrzała niezadługo Zbawiciela swego, zapytała go: Ach Panie, jakżeś mógł przebywać w sercu mojem takiemi zeszpeconemi pokusami? Zbawiciel zapytał — czy miała w tych pokusach upodobanie, czy się niemi zabawiała — a gdy odebrał odpowiedź, iż przeciwnie najbardziej się niemi brzydziła, odrzekł: Otóż ja dodawałem ci siły i mocy, abyś tym najazdom szatańskim skuteczny opór stawiała.

Ponieważ i Chrystus Pan nie był wolny od pokusy szatańskiej — przeto niechaj to dla nas będzie pociechą, w pokusach i nagabywaniach złego ducha. Choćby nam najbrzydsze myśli i obrazy chciały szpecić wyobraźnią naszą, nie lękajmy się, nie traćmy odwagi i męztwa chrześciańskiego, lecz opór stanowczy pokusom stawiajmy, w dobrej intencyi i szlachetnych zamiarach trwajmy — powtarzając słowa starej pieśni:

Że choćby i samo powstało
piekło się na mnie zbuntowało,
nie zginę

— jeśli szczerą i rzetelną będę miał chęć służenia Bogu, czynienia dobrze, a chronienia się złego.

Nie narażajmy się przeto sami na pokusy dobrowolnie idąc w sidła szatańskie, bo kto miłuje niebezpieczeństwo, ten w niem ginie.

Przez post, modlitwę i umartwienie, przez czytanie, rozmyślanie i słuchanie słowa Bożego przygotowujmy się, aby opór mężny umieć stawić pokusie.

DZIELNA PRZEPRAWA.

Wspomnienie z powstania w roku 1863.

przez Gryfa.

Jednego dnia wódz przywołał mnie do siebie.

— Powierzam ci wielkie zadanie, z pod samego Krakowa sprowadzisz mi ukryte w lesie skrzynie z szaspotami belgijskimi i dziesięć tysięcy do nich ładunków, po drodze weźmiesz rekruta i ochotników. Czekają, aby ich zabrać, wrócisz z nimi. Chwila najodpowiedniejsza, Moskale po nieudanej obławie odpoczywają. Spraw się dzielnie, karabinów nie oddać w ręce Moskali. Bierz dwudziestu najdzielniejszych strzelców, a do pomocy daję ci Sikorskiego; chłop jak dąb, zna wybornie lud, wszystkie ścieżki w Krakowskiem i najlepszy w oddziele strzelec.

— Pułkowniku — szepnąłem — boję się odpowiedzialności. Dwieście karabinów stracić?!...

— Nie pójdziesz, — każę cię rozstrzelać.

— Nie wrócę bez nich, lecz szkoda.

— Kogóż poślę — majora.... To żołnierz, lecz nie partyzant. Poszedłbym sam z całym oddziałem, lecz zastąpią nam drogę, otoczą. Nie mam nikogo, musisz iść. Sikorski będzie cię prowadził nocami. Co parę mil zmieniać podwody — pójdzie!.... Masz mapę, pieniądze, żywność.

— Proszę więc jeszcze o parę kosynierów z siekierami do pomocy. Jako szpiedzy, a gospodarze w lesie — wyborni.

— Bierz, ilu chcesz. Zajdziesz na miejsce z Sikorskim, jestem pewny, lecz z powrotem ostrożnie.

Objął mnie w pół, przycisnął i pocałował.

— Pomyśl, dwieście szaspotów i dziesięć tysięcy ładunków — co za siła!... Bogdan w siedmset ludzi zbliża się do nas. Niech wtedy Czengiery*) zrobi na nas obławę?!....

Nie bylo rady; gdy się nie uda, nie wrócę, gdy wrócę, co za sława! Odszukałem Sikorskiego. Olbrzym dobrodusznie się rozśmiał na wieść o dwustu szaspotach i dziesięciu tysięcach ładunków.

— Z piekła je wydobędziemy i na barach przeniesiemy. Znam ja Krakowskie z czasów sprzysiężenia, szlachtę i chłopów, wiem, co który wart i gdzie szukać pomocy. Kapitanie, pójdziemy. Nocami będziemy maszerować, a dnie leżeć w stodołach u chłopów. Jeżeli już są na naszej stronie schowane w lesie belgijskie karabiny, nie przywieźć ich byłaby hańba.... — Sikorski wlał we mnie otuchę, poszedłem z nim na pożegnanie do pułkownika, uradziliśmy całą marszrutę i w samo południe wyruszyliśmy na Święty Krzyż. W nocy minęliśmy Słupią.

Sikorski znał Krakowskie drogi i ścieżki, a w każdej wsi oddanych sprawie chłopów. U nich odpoczywaliśmy, u nich zamawiał podwody. Gotowe wozy miały na nas czekać, a przy nich rekruci i ochotnicy. Kosynierzy dzielnie nam pomagali. Na czwartą noc dotarliśmy na miejsce. Właściciel wioski z ludźmi i końmi czekał na nas w lesie. Odkopali ziemię, skrzynie wydobyte złożyli na wozy. Ładunki przywieziono ze dworu na trzech wozach.

*) Dowódzca oddziału moskiewskiego.

Uścisnąłem rękę młodemu szlachcicowi, fornale siedli na wozy, my gdzie który mógł i wolno, cicho wyjechaliśmy z lasu kłusem do pierwszej stacyi. Przełożyliśmy paki na drugie wozy i dalej, aby tylko oddalić się jak najwięcej od granicy, gdzie Moskale rozstawieni w około, czujni byli na każdy sygnał. Patrole kozackie gęsto przelatywały. Ucięliśmy od granicy sześć mil w głąb kraju; dzień oblał nas swem światłem i przeraził. Paki zostawiliśmy w lesie, podwody podróżne wróciły. — Sikorski podobny do leśniczego, wziął kij, poszedł do wsi z trzema kosynierami uzbrojonymi w siekiery.

Dwieście karabinów, dziesięć tysięcy ładunków i nas garstka, las mały i rzadki. Mrowia nas przechodziły po skórze. Pokładliśmy się na ziemi i leżeli, przenosząc duszę do oczu i uszu. Jakże ten dzień wlókł się powoli! Godziny mijały długo jak wieczność.

Na południe wrócił Sikorski, kosynierzy w torbach przynieśli nam żywność i parę flaszek wódki, zrobiło się raźniej, wódka nas orzeźwiła. — Szczęście nam sprzyja — zawołał Sikorski — wczoraj byli tu moskale, sotnia kozaków i rota piechoty — poszli do Olkusza. Wracali z obławy na nas, podobno oficerowie klęli na Czengierego. — Odetchnęliśmy. — Droga swobodna i wolna! — Zdaje się, lecz w dzień nie możemy narażać dwustu karabinów i dziesięciu tysięcy naboi. — Nigdy, czekajmy, przez siedm godzin nocy można ubić kawał drogi.

Noc zapadła, wyruszyliśmy. Nocy tej z jednym przeprzęgiem ucięliśmy ośm mil, piętnaście od granicy. Na drugim przeprzęgu zabraliśmy czterdziestu rekruta i dwudziestu ochotników uzbrojonych w dubeltówki. — Jeszcze jedna do przebycia noc, — na czwartym przeprzęgu zabraliśmy resztę rekruta i ochotników. Do Słupi cztery mile, do Świętego Krzyża pięć; okolica pusta,

na prawem skrzydle lasy; idziemy śmiało w biały dzień, byle prędzej. Do podnóża gór już tylko mała milka, za godzinę jesteśmy w lesie, za półtorej uratowani i karabiny nasze — powtarzam w duchu po setny raz! Przyspieszamy kroku, nadzieja nas pcha, góry się zbliżają, tylko rękę wyciągnać, gdy wtem przypadł do mnie Sikorski. — Kapitanie! moskale! — wskazał ręką. — Obejrzałem się — nie dalej, jak o tysiąc pięćset kroków maszerowali ku nam szybko w zwartej kolumnie od Słupi. Chcieli nam przeciąć drogę na Święty Krzyż, otoczyć i wziąć w niewolę. — Karabiny nasze! — szepnąłem. — Wozy naprzód kłusem — wołałem — rekruci koło wozów, ochotnicy do mnie. Strzelców wziął pod komendę Sikorski. Ruszyliśmy podwójnym krokiem, wozy poszły kłusem, rekruci wystraszeni biegli przy nich.

-- Drogi już nam nie przetną — rzekł Sikorski.

Moskale czoło kolumny rzucili w tyraliery rozpoczynając ogień. -- Szkoda ładunków aby odpowiadać im — mówił olbrzym. — Byle kule nie dosięgły wozów z nabojami — zawołałem.

— Nie strzelają do wozów, głupcy. — Kule świstały, lecz nie robiły nam szkody. — Kapitanie, gdy dopadniemy do lasu, co robić? Las gruby, lecz rzadki, gdy się będziemy piąć w górę, wystrzelają nas jak kaczki.

— Więc co? więc co? — pytałem przerażony. — Dwieście szaspotów i dziesięć tysięcy ładunków przepadło!.... — Stanęliśmy na głównym trakcie do Świętego Krzyża, moskale przysunęli się na tysiąc dwieście kroków, drugi pluton rzucając w tyraliery, Sikorski pobiegł do wozów. Strzelcy nasi rozsypali się również w tyraliery, żeby zatrzymać moskali. Wielkie złomy kamieni wyborną były dla nich zasłoną. Kilka celnych strzałów zatrzymało moskali, stanęli. — Do mnie — wrzasnął Sikorski. — W las z całych sił — zakomenderowałem. — Moskale sypnęli za nami rotowym ogniem, dym nas zasłonił, dając czas doskoczyć do wozów.

Wielka kotlina kamienna pomieściła wozy, rekrutów i ochotników. Strzelcy nasi wyszukawszy dobrych wylotów, zaczęli strzelać. — Tu musimy się utrzymać do zachodu słońca — oświadczył Sikorski — inaczej szaspoty i naboje dostaną się moskalom. — Dwadzieścia karabinów przeciw trzystu — szepnąłem wściekły z bólu. — Do zachodu słońca trzy godziny! Półtrzeciej— odparł Sikorski, pochwycił karabin, wycelował i moskala, który krzyczał wskazując pałaszem na prawe skrzydło swych tyralierów, położył.

Ogień szedł, mimo to moskale ciągle się zbliżali. — Obejdą nas z boków i wezmą — zawołałem. — Rekruci padli na kolana, szczęki im latały. „Jezus Marya", szmer ten powtarzał się nieustannie. — Ochotników z dubeltówkami rozrzucić szeroko po skrzydłach, niech strzelają.

Dałem ich pod komendę podoficera, wyszli z kotliny. Zrobiło się weselej, ogień ich ożywił, lecz moskalom niewiele szkody robił. Manewrowali, kryjąc się za wyniosłością ziemi i za krzaki jałowcu. — Źle — szepnąłem do Sikorskiego — za pół godziny szaspoty w rękach moskali, rekruty uciekną, nas rozdziesiątkują, nie wrócę do obozu. — Ani ja — zawołał olbrzym. — Czy Pan Bóg nas przeklął, że nam każe tonąć na brzegu. Kapitanie ryzykujesz?

— Życie — rzekłem i oddałem je.

— Do mnie strzelcy — zawołał, stanął na najwyższym punkcie wylotu zasłonięty skałą. — Nabijać broń i podawać mi, ja jeden tylko strzelam. Odwrócił się do mnie. Ostatni ratunek!

Strzelcy otoczyli olbrzyma, nabijali w milczeniu karabiny, podając mu po kolei. Sikorski stojąc na dominującem podniesie-

niu, zobaczył prawe skrzydło moskiewskie, kierujące się do lasu. Pięć strzałów posłał i pięciu moskali przewrócił, prawe skrzydło zatrzymało się. Następnie pięć strzałów poszło do środka, lewe skrzydło było znacznie oddalone. Ogień nasz szedł. Olbrzym wzrok miał sokoła, oko pewne, pozycyą wyborną. Padło dwadzieścia strzałów. Siedmnastu moskali — zawołał. — Powtórzyła się druga kolej nabitych karabinów. Dwadzieścia strzałów padło. — Zaśmiał się wesoło. Daleko do zachodu? Półtorej godziny. Po wiele naboi? Po ośm — odpowiedzieli strzelcy. — Sto sześćdziesiąt, można pohulać. Kolumna moskiewska zdala ukazała się na wzgórzu. Spróbujmy — zawołał — złożył się, strzelił, padł moskal. Karabiny — krzyknął. — Dziesięć strzałów padło jeden po drugim, wszystkie prawie celne, moskiewska kolumna cofnęła się. Zatrąbiono na tyralierów do odwrotu.

Odetchnęliśmy, olbrzym się śmiał, uściskałem go. Uratowałeś szaspoty, ładunki i nas. Jeszcze nie, czuję, że szelmy wrócą. Muszą być wściekli. Daleko do zachodu? Godzina. Noc nas uratuje, jeżeli nie przypuszczą szturmu. Gdyby jeszcze dwóch do mnie.

— Daj pokój, nie nadążyliby wam strzelcy nabijać. Posłałem do podoficera dowodzącego ochotnikami, aby nie schodzili z zajętych stanowisk. Trąbki moskiewskie zagrały do ataku. Olbrzym skoczył na stanowisko, strzelcy z nabitymi karabinami otoczyli go, wszyscy zasłonięci. Gęsto rozrzucone w tyraliery prawe skrzydło moskali, żywo pomykało do lasu. Postanowili nas obejść i zmusić do ucieczki z pozycyi przed zachodem słońca lub żywcem wziąć. Kolumna szeroka rozstawiona ukazała się na wzgórzu. Bronię przystępu do lasu — zawołał olbrzym — karabiny przybijać mocno, z całych sił. Baczność!

Celował na prawe skrzydło, strzały szły spokojnie, miarowo, lecz strasznie. — Kolumna moskiewska posuwała się naprzód wśród gęstego ognia. Odpowiadały jej dla zamaskowania naszych malutkich sił strzały ochotników z pięćdziesięciu dubeltówek.

Prawe skrzydło tyralierów moskiewskich złamane cofnęło się szybko, zostawiając kilkunastu ludzi na placu. Cofają się po za nasze strzały i pójdą w las!....

Słońce staczając się na zachód, zmieniało się w kulę ognistą, rzucając krwawe blaski na ziemię. Tak powoli zsuwało się w ciemną przepaść, że aż nam z niecierpliwości w mózgach huczało. Prędzej — powtarzałem, patrząc na słońce — prędzej, — drżałem z wściekłości. Moskale zaskoczą nas w lesie, któż zdoła zatrzymać rekrutów i wozy! A teraz z wami sprawa — mówił olbrzym, — celując na skrzydło rozwleczonej kolumny, tak gdzie stała starszyzna, — padło sześć strzałów, pięć celnych. Moskale rozdzielili się na pluntonowe kolumny, szli naprzód szybko. — Strzelcy nabijali karabiny ze wściekłością, pot im spływał z czół. Olbrzym stał jak posąg nieruchomy, odbierał broń, przykładał się i strzelał. Pierwszy pluton przełamany cofnął się.

— Ile ładunków? — zapytał. — Jeszcze po trzy — odpowiedzieli. — Hulajmy! Niech żyje Polska! — zamierzył się, strzelił, drugi pluton stanął. Kapitan padł — zawołał. — A teraz tyralierów pomacać, przyszli na najpewniejszy strzał. — Z wściekłością rozpaczy, blady ze zmęczenia, lecz z coraz większą zaciętością pracował. Czuł, że od jego ręki i oka życie nasze zależy i co ważniejsza, dwieście belgijskich karabinów i dziesięć tysięcy ładunków.

— Nagle mrok spłynął w kotlinę, krwawa purpura objęła moskali, urośli, zolbrzymieli, słońce ich zbliżyło. — Teraz albo nigdy — wołał olbrzym — ładunki przybijać, bo mi szczęka odpadnie. Dziesięć dla mnie

zostawić, a dziesięć strzałów na trzeci pluton, od razu!....

Trzasnęły zamki, dziesięć strzałów dobrze wymierzonych padło od razu, a za nimi szedł powoli strzał po strzale, pewny, morderczy. — Trzeci pluton skrył się za wyniosłością ziemi. Słońce ostatnie blaski purpury przez wierzchołki drzew rzuciło i zgasło. — Wiele naboi? — zapytał olbrzym. Dwanaście. Jeszcze trzy posłał strzały. Jakoś dziwnie daleko rozniosły je echa.

— Zwycięztwo — szepnął, schodząc z wyniosłości. — Zwycięztwo! — huknęła wiara z całych sił. Głos ten dopadł do moskali. Olbrzym pochwycił karabin. — Za mną -- zawołał -- za mną, — wyskoczył z kotliny i pomknął na czele dwudziestu strzelców na lewe nasze skrzydło. Wysunął się z cyklu lasu, dwadzieścia karabinów dało ognia za nimi, wielki okrzyk hura biegł daleko po rosie. Odpowiedzieliśmy piersiami wszystkich rekrutów, a nam odpowiedziały trąbki moskiewskie od odwrotu.

Szczęki im latały, z oczu płynęły łzy, pochwyciłem w objęcia pierwszego rekruta i rozpłakałem się głośno. Rekruci płakali i chłopi przy wozach... — Wrócili ochotnicy, kotlina wrzała szaleństwami radości. Nadbiegł olbrzym ze strzelcami, rzuciłem mu się na szyję, strzelcy pochwycili za bary, rekruci całowali go po rękach. Ojcze! ojcze! — szeptali. — Kto chce przyjść do obozu z karabinem — zawołał — niech leci i szuka. Nie wszystkie zabrali moskale. — Za wybiegającymi posłałem strzelców. Olbrzym siadł na odłamie skały, zrzucił czapkę, zmęczony robił piersiami, jak miech. Przy ostatnich strzałach — mówił wolno — myśleli, że Chmieliński przyszedł nam na pomoc i drapnęli do Słupi. Na świtanie wrócą. Odpocznijmy — przerwałem mu — zasłużyliśmy na odpoczynek. Dwieście karabinów i dziesięć tysięcy nabojów ura towanych. Tyś je ocalił wraz z naszem życiem!.... — Jeszcze nigdy tyle dusz nie wyprawiłem na tamten świat, lecz cóż, sami leźli pod lufę. — Jeszcze nigdy w życiu nie dokonałeś tak wielkiego dzieła, naprzeciw trzystu ty jeden. — Tak szli — zawołał olbrzym — jak panny do tańca. — A tyś kładł jednego po drugim. Napijmy się — zawołałem, — uderzając go z niewysłowioną sympatyą ręką po ramieniu. Kazałem podać z wozu kosz z prowiantami. Była to najrozkoszniejsza uczta w mem życiu!.... Rekruci, ochotnicy i strzelcy wrócili; trzydzieści karabinów, trzydzieści ładownic i trzydzieści par butów!.... Ani jednego więcej, to z ostatnich strzałów przed zachodem słońca — zdał raport podoficer. Resztę zabrali. Gdyby nas dostali?.... zawołałem. Żywcem by piekli — zaśmiał się olbrzym — okrutną mieli ochotę!.... Kosynierzy nacięli drzew, rozpalili ogień, ucztowaliśmy oszołomieni.

Lud patrzał na olbrzyma, jak na mityczną postać. Legenda o nim już się wytwarzała w mózgach i dziś błąka się po Swiętokrzyskich górach i przytulonych do nich wioskach. Życie wrzało, ochota i radość rozsadzały serca, śpiewy przebijały mgły wieczorne, na których księżyc kładł srebrną swą przędzę. Marsz, w drogę! — Dziesięciu strzelców z podoficerem wysunęło się naprzód, drugich dziesięciu zamykało pochód, kosynierzy z rekrutami wydźwigali wozy. — Ruszyliśmy pod górę drogą wykutą w kamieniu. Posuwaliśmy się wolno, księżyc rzucał przed nami blade promienie i rozsuwał drzewa. Odwróciłem się, dolinę otuliła mgła. W łagodnem jej spowiciu spali wiecznym snem niewolnicy caratu. Biedacy, naprózno żony i dzieci oczekiwać ich będą, rodzinnych wiosek już nie zobaczą. Kiedyż się skończy straszny okres barbaryi, najazdów i łupieztw?.... Kiedyż się ziści braterstwo ludów?.... W cztery godziny

później stanęliśmy przed wodzem. Cały obóz się zbudził, radość była wielka, olbrzym bohaterem. — Nazajutrz rano rozbijano paki, składano broń, rozkoszowano się bagnetami szerokiemi na dłoń, zakrzywionemi leciutko w górze. Na południe dwieście karabinów ustawiono w kozły, szerokie bagnety iskrzyły się na słońcu. Cały obóz stanął w szeregu przed nimi. Wódz wyprowadził olbrzyma i wskazując na nie, rzekł: Twoje są, mianuję cię nad nimi kapitanem, dobierz sobie ludzi. Olbrzym drżał ze wzruszenia, cały obóz jak gdyby jedną piersią zawołał:

— Niech żyje!....

STRUŚ.

(Z ryciną.)

Struś, największy ze wszystkich znanych ptaków, liczy się do rzędu Biegających a do rodzaju Strusiowatych. Żaden z ptaków do tego rodzaju należących latać nie może, lecz za to wszystkie niezmiernie szybko biegają. Tu zaliczają się: Rea, mieszkający w Południowej Ameryce, Emu, w Nowej Holandyi, Kazuar, na Indyjskim Archipelagu i Struś Afrykański, którego chcemy wam opisać. Do tej rodziny zaliczają także dwa gatunki ptaków zaginionych, a niezmiernie ciekawych z powodu ich olbrzymiej wielkości. Pierwszego nazwano Diuordis, kości jego znajdują się dość często w wulkanicznych piaskach Nowej Zelandyi, nie tak dawno one wyginąć musiały, gdyż ludy miejscowe podania o nich zachowały. Kości ich do strusich są podobne, lecz z rozmiarów sądzić należy, że znacznie większe od tych ostatnich być musiały. Drugi, nazwany przez uczonych Epiornis, mieszkał na wyspie Madagaskar, jaja ich i kości które tam znajdują, każą wnioskować, że wysokość ptaka musiała być do 15 stóp, jaja zaś mają objętność sześciu jaj strusich, czyli równają się około stu pięćdziesięciu jajom kurzym. Niektórzy uczeni utrzymują, że ptaki te dotąd jeszcze żyć muszą, w nieznanych nam częściach lądów środkowej Afryki, co zresztą jest prawdopodobnem.

Struś Afrykański mieszka w Arabii, a głównie w środkowej i południowej Afryce. Głowa jego w stosunku do ciała jest bardzo mała i puchem pokryta, jako też i szyja. Na skrzydłach i w ogonie długie, miękkie i wiszące pióra białe, będące przedmiotem znacznego handlu. Nogi wysokie, grube i muszkularne o dwóch palcach tylko. Samcy są koloru czarnego, oprócz długich piór na skrzydłach i ogonie, samice zaś popielate i ozdobnych piór pozbawione.

W rozległych, piaszczystych równinach Arabii i Afryki struś obrał sobie główne siedlisko. Jest on przeważnie mieszkańcem pustyni, nigdy widzieć się nie daje w okolicy błotnistej lub cokolwiek leśnej, ani też w polach uprawnych.

Żyje w towarzystwie, w większych lub mniejszych gromadkach, zwykle do sztuk pięćdziesięciu; widzieć je można pasące się spokojnie wśród stad zebrów, kwagów i różnych antylop, równie jak i on mieszkańców rozległych pustyń.

Każda samica znosi od dwunastu do szesnastu jaj i te składają w wspólnych gniazdach do 60 jaj w każdem; gniazdo stanowi prosta wklęsłość w piasku wygrzebana. Pod równikiem samo działanie słońca wylęga jaja, lecz dalej nieco, samice kolejno siedzą na jajach, na noc zaś samcy ich miejsce zawsze zastępują. Jaja w gnieździe ustawione są szczelnie i pionowo, a naokoło gniazda znajduje się zawsze kilkanaście porozrzucanych jaj, do wysiadywania nie przeznaczonych, lecz tylko mających służyć na pierwszy pokarm dla młodych strusiąt.

Młode wychodzą z jaj zupełnie rozwinięte i na trzeci dzień już opuszczają gnia-



Polowanie na Strusie.

zdo, udając się na żer pod przewodnictwem rodziców. Stare niezmiernie są troskliwe o swoje potomstwo, broniąc je z narażeniem życia. Za zbliżeniem się silniejszego nieprzyjaciela, samica uciekając sama, udaje ranną, włóczy nogą jakby ją złamaną miała, co chwila pada na ziemię i daje zbliżyć się do siebie, a samiec tymczasem w inną stronę pisklęta uprowadza. W podobny sposób postępuje i wiele innych ptaków, kaczka dzika, kuropatwa, poświęcają się dla ocalenia swego potomstwa.

Młode strusie wyszedłszy z jaj są wielkości perlicy czyli pentarki. Oswajają się z wielką łatwością; stare także są usposobienia łagodnego i spokojnego.

Jaja strusie mają skorupę bardzo twardą; wielu pokoleniom w okolicy Przylądka Dobrej Nadziei zamieszkałym, służą za flaszki i inne naczynia, innych nawet po większej części nie mają. Krajowcy wyszukują chciwie gniazda strusie, jaja bowiem wyborne jedzenie stanowią. Są one koloru białawego i jakby śpilką nakłóte. Wielkość ich jest dość różna. Jaje średniej wielkości waży przeszło trzy funty, a objętość jego wynosi dwadzieścia cztery jaja kurze. Jajecznica więc z jednego, na kilka osób wystarczy, lecz jakaż to znakomita być musiała jajecznica z jaj Epiornisa, sześć razy większych od strusich.

Struś, samiec dorosły, ma wysokości około 4½ łokci, a waży do 400 funtów. Niezmiernie jest silny, z łatwością unosi człowieka. To też murzyni i kafrowie jeżdżą na nich, jak na koniach.

Struś, jak utrzymują niektórzy, ze wszystkich zwierząt ma bieg najszybszy, inni sprzeciwiają się temu. Trudno byłoby to sprawdzić, gdyż kursa w którychby występowały strusie, konie wyścigowe, jelenie, antylopy różne, charty itd. dotychczas urządzane nie były; faktem jest jednak, że myśliwy na koniu w prostej linii strusia dopędzić nie może. Lecz, że ptak ten będąc ścigany bieży w tę, to w ową stronę, wiele czyniąc gzygzaków, łatwo więc go dopędzić na rączym koniu, przecinając mu drogę.

Struś w biegu wydaje stopami swemi odgłos jakby konia w kłusie, spore kamienie silnie rzucając po za siebie. W bardzo zaś szybkim biegu rozpuszcza swe długie, piękne pióra białe skrzydeł i ogona i nad grzbietem wznosi, lecz one służą mu nie do latania lecz do utrzymania ciała w równowadze. Struś broni się nogą i wierzga jak koń, gdy trafi takiem uderzeniem, złamie kość, lub nawet zabić może.

Bezpieczeństwo jego polega głównie na wzroku, który ma niezmiernie bystry, a mieszkając zawsze na bardzo obszernych i odkrytych równinach, na niezmierną odległość dopatruje nieprzyjaciela i w inną zmyka stronę.

Wielu podróżnych spotykając strusie w bezwodnych pustyniach, utrzymywało, że one nigdy nie piją, lecz to jest błędne mniemanie, przeciwnie co wieczór udają się do wody w jedno wybrane miejsce, wprawdzie najczęściej bardzo oddalone, ale cóż odległość znaczy dla tak rączego i silnego ptaka*). Zwyczajnym pokarmem strusiów są wierzchołki roślin i krzewów, pączki ich i nasiona, lecz, że zwierzę to dużo pokarmu potrzebuje, a przytem jest dość obżarte, połyka zatem mnóstwo rzeczy na pokarm najmniej zdatnych, w tej liczbie i dość spore kamyki, co zresztą robi i inne ptastwo kurzego rodzaju. Sól lubią niezmiernie.

Struś w spokojności wydaje rodzaj poważnego i dźwięcznego gdakania, w rodzaju niby kurzego, lecz czasem ryczy zupełnie jak lew, rozgniewany zaś lub ranny, syczy jak gąsior.

W pustyniach, przez strusie zamieszkałych, są ludzie oddani wyłącznie polowaniu na tego okazałego ptaka, którego skóra i

*) W niewoli zaś bardzo wiele piją wody.

pióra dość znacznej są wartości. Skóra ta bardzo jest mocna, daje się wyprawiać prześlicznie i służy na wyrób rozmaitej odzieży. To też nie dziw, że zawzięcie na nie polują.

Do polowania na strusie obiera się najgorętszą porę roku. Wielkie te ptaki, jakkolwiek dzieci afrykańskiego słońca i gorących piasków pustyni, zmordowane gonitwą stają bezwładnie w południowej porze z otwartym dzióbem i opuszczonemi skrzydły, co tem prędzej następuje, gdy konie użyte do ścigania częściej są zmieniane i do takich trudów zaprawione.

Sposób polowania Beduinów jest następujący: Gromada strzelców zawiadomiona o miejscu pobytu strusi zajmuje pewną kryjówkę, zkąd niewidziana, ma jednakże całe obszary pustyni odsłonięte. Jednocześnie kilku doświadczonych strzelców zachodzi i odcina ptakom odwrót, płosząc je w kierunku kryjówki. Skoro strusie dostatecznie już zostały zmordowane, wówczas wypadają inni strzelcy z ukrycia i kończą zaczętą robotę.

Skarga tułacza.

Czemuż mi smutno? ból serce ściska,
W piersi tak zimno, a w oczach łzy;
Czemuż ja nie mam swego ogniska,
Gdzieżeś, o Boże! ach gdzieżeś Ty?

Gdzie ma rodzina i stara matka,
Bracia i siostry, gdzieżeście wy?
A w moim kraju, gdzie mała chatka;
Gdzieżeś, o Boże! ach gdzieżeś Ty?

Wszystko mi wzięli, wydarli siłą,
Prócz tego serca, co w łonie drży.
Nawet się żegnać nie dali z miłą,
Gdzieżeś, o Boże! ach gdzieżeś Ty?

Marzyć o Polsce wolnej od wroga,
O ziemi drogiej — to moje sny.
Dla mnie już tylko tułacza droga,
Gdzieżeś, o Boże? ach gdzieżeś Ty?

Pieśń o św. Stanisławie Kostce.

1.

Trzysta lat przeszło, jakeś powieki
Zamknął, Aniele, anielskim snem,
I wzniósł się w niebo, by tam na wieki
U Boga szczęściem cieszyć się twem.
Gdy we łzach dzisiaj naród nasz tonie,
Gdy go najsroższy przyciska los,
O Stanisławie Polski Patronie!
Do Ciebie wznosim błagalny głos.

2.

Spojrzyj, ach spojrzyj na naszą ziemię,
Na Twą ojczyznę, — na naród Twój!
Spojrzyj na ciężkie niedoli brzemię,
Na cierpień naszych wezbrany zdrój.
Do Ciebie dzisiaj wznosi swe modły
Na cudzej ziemi tułaczy lud;
Patrz, jak nam ciernie serce przebodły,
Jak życia ciężki nęka nas trud.

3.

Ty, coś nas dawniej ochraniał zawsze,
Wrogów oddalał od naszych bram,
Znośniejszą dolę, losy łaskawsze,
U Pana Kostko, wyjednaj nam!
Niwy Chocima łask twych doznały,
Sławił Twe cuda zdumiały Lwów;
Wstaw się za nami: niech twojej chwały
Pośród nas promień jaśnieje znów.

4.

A gdy runęły szczęścia filary,
Gdy po świętości sięga nam wróg,
Ocal przynajmniej skarb Ojców wiary,
By nam przeciwnym nie był sam Bóg,
Niech ta rocznica łask Twych po sobie
Nam wiekopomny zostawi ślad;
Wskrześ dawne życie złożone w grobie,
Cnoty ojcowskie, zgodę i ład. Amen.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiaski moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

Legenda o Matce Boskiej Gromnicznej.

Na wzgórku odległym od pewnej wioski kościelnej widać po dziś jeszcze leżący na polu kamień 30 stóp długi, 6 szeroki, dwie stopy wysoki. W okolicy każdy nazywa go kamieniem czartowskim.

Na miejscu tym wznosiło się dawno przed laty wielu zabudowanie gospodarza Antoniego, zamożnego dosyć człowieka.

Pewnego roku żniwa były doskonałe; zboża i siano wszystko było posieczone i zwiezione być miało do pięknej, rozległej stodoły. Czas naglił, gdyż podług przepowiedni spaść miał za dni kilka deszcz tak wielki, że łąki całe stać miały pod wodą.

Tego samego dnia, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, ogień pochłonął gospodarstwo Antoniego razem z całym dobytkiem, a nieszczęśliwy kmiotek widział już sprzęt swój moknący na polu, gdyż zwieść go nie miał dokąd. Był we wielkiej rozpaczy, ale nie modlił się wcale w tej potrzebie i zamiast udać się do Boga, szukał tylko ludzkiej rady. W sam wieczór klęski swojej wyszedł z domu i chciał się udać do brata swego o dwie mile mieszkającego.

Przybywszy na rozstajne drogi, ujrzał przed sobą nagle człowieka wysokiej postawy odzianego płaszczem brązowym, ze szpadą przy boku i w kapeluszu z piórem czerwonym.

— Dokąd idziesz, komotrze?

— Co ci na tym zależy? — odpowiedział gospodarz nie patrząc na niego, gdyż nie był wcale w dobrym humorze i szedł dalej swą drogą.

— Tobie właśnie zależeć powinno na tym, abym ja wiedział, dokąd idziesz.

— Dla czego?

— Ja sam tylko mogę cię od ruiny wybawić.

Na te słowa gospodarz podniósł oczy na nieznajomego, który tak trafnie uderzył go w samo serce, gdyż Antoni był bardzo do mamony przywiązany, a znajdował się w samej rzeczy na brzegu przepaści; długów miał trochę, a pożar ostatni przyczyniłby się do zupełnej utraty majątku.

Nieznajomy odgadł był zupełnie położenie Antoniego; to też Antoni chcąc go bliżej poznać, bacznie wpatrzał się w twarz jego i spostrzegł, iż oczy jego nie miały wcale białka; dwie źrenice były całkowicie czarne. Po znaku tym poznał Antoni Belzebuba, ale nie uczynił na sobie znaku Krzyża św., tylko zapytał się tego piekielnego zjawiska:

— Jakim sposobem mnie wybawisz?

— Postawię ci stodołę.

— Doprawdy! i razem z tem wszystkiem co się w niej znajdowało?

— Razem z wszystkiem.

— Ale w jakim czasie?

— Tej nocy zaraz.

Tysiące myśli różnorodnych zaczęło pokutować w głowie Antoniego; im bardziej się wahał, tym bardziej czuł, iż go opanowuje jakaś siła tajemnicza; trzeba mu przecież było pozbawić się kłopotu.

— Zgoda! odrzekł nareszcie.

— O! to w takim razie, komotrze, podpisz to.

— Ale cóż znaczą te głoski? zapytał Antoni, gdy zobaczył kabalistyczne kształty

jakieś na pergaminie, który mu Belzebub podawał.

— Znaczą one, iż dusza twoja i ciało będą mojemi za lat pięćdziesiąt, jeżeli za nim kur zapieje, twojej stodoły nie wystawię.

— Pięćdziesiąt lat, pomyślał Antoni, to długo bardzo, mam czas jeszcze... i kroplą krwi własnej cyrograf podpisał.

Zły duch zniknął natychmiast.

* * *

Gospodarz nawrócił się i poszedł do domu. Żona podała mu wieczerzą.

— Nie jestem głodny, zamruczał.

— Odpocznij troszkę, Antoni; pomówimy ze sobą jutro. Pan Bóg się nad nami zlituje.

— Mówisz ciągle o Panu Bogu. Daj mi pokój; nie położę się, spać mi się nie chce. Gospodyni także spać się nie chciało, gdyż przestraszał ją niepokój męża; czuwała zatym pilnie i z za poduszki widziała, jak mąż noc całą wychodził, wracał, znowu wychodził, a powracał coraz to bledszy i niespokojny. Wstała więc z łóżka i poszła za mężem; ale stanąwszy na progu domu zadziwiła się niezmiernie; straszny widok przedstawił się jej oczom.

W ciemności nocy mnóstwo niezliczone małych istotek z twarzami ognistemi, pazurami kociemi i koguciemi stópkami ruszało się na gruzach stodoły i z nadludzką siłą pracowało nad stawianiem nowej.

Mąż jej tymczasem wszedł do izby.

— Co to znaczy, Antoni, rzekła drżąc cała, zaklinam cię na Chrystusa, odpowiedz mi.

Na to wezwanie Chrystusa Antoni odpowiedział płacząc:

— To jest, moja biedna Franciszko, zbawienie nasze na tym świecie, ale zatracenie wieczne na drugim.

I wszystko wyznał żonie.

Franciszka była kobietą rozsądną i Boga się bojącą; uczyniła więc to, czego po pożarze uczynić zapomniała; wróciła do domu, padła na kolana i gorąco modlić się zaczęła przed obrazem Najświętszej Panny.

Gdy skończyła, zdawało jej się, iż Marya się uśmiechała, a czart pod Jej stopami wił się niezmiernie. Przed obrazem Maryi była także gruba Gromnica, poświęcona w dzień Oczyszczenia Najśw. Panny Maryi, która zapalona bywa w ważnych okolicznościach lub w godzinę śmierci. Franciszka zrozumiała radę Maryi, bierze więc gromnicę, zapala ją długim knotem lnu siarkowanego (gdyż zapałek fosforycznych jeszcze nie znano) i wychodzi z domu. Gdy przybyła na tę część podwórza, w której się kurnik znajdował, w tej samej chwili kogut, który sobie po pożarze wczorajszym błogo zasypiał, pomyślał sobie z pewnością, iż to jutrzenka tak świeci i z całego gardła zapiał kukuryku!

Pianiu temu odpowiedział świst przeraźliwy wszystkich małych potworków; poświęcone światło wywołało było pianie koguta, które niweczyło targ Belzebuba.

Od czasu jak pianie kura wzbudziło żal w sercu Piotra, który miał być namiestnikiem Kościoła, czart, który nienawidzi jutrzenki, kończy swe roboty piekielne o ciemności, zanim kur da się słyszeć.

Tą razą jednak szatan chciałby był potworki te zatrzymać i zaczął co sił krzyczeć: jeszcze nie czas! Ale djabliki przewracając koziołki jeden przez drugiego czemprędzej zmykać poczęły, zostawiając pracę już na ukończeniu.

A był już czas wielki; szczyt już stał na wzniesionym budynku, dachówki już leżały, a poprzeczna belka 30 stóp długa, oznaczała wysokość dachu. Belzebub wściekły zrzucił tę belkę na pole i czmychnął czemprędzej.

We wsi usłyszano hałas wielki, a nazajutrz rano ujrzano w polu długi kamień czartowski, na którym widać było trzy znaki od trzypalcowej łapy Belzebuba.

Antoni czemprędzej zwiózł sprzęty swoje, ale nie podziękował wcale Bogu za tę łaskę.

Próbował potem sam skończyć budowy, ale napróżno. Dachówki, które w dzień pokładł, w nocy spadywały, a szczytu wydartego przez uciekających szatanów załatać nie było można. Tymczasem przepowiednia się ziściła, deszcz zaczął lać strumieniami.

Zboże zwiezione do stodoly z pewnością zgnije, a Antoni będzie jeszcze bardziej za kłopotany, gdyż ludzie stracili dla niego wszelkie współczucie, skoro ujrzeli, jak stodoła jego przez noc jednę stanęła mocą jakąś niewidzialną.

Lało ciągle jak z cebra; zrozpaczony Antoni nie mówiąc nic żonie swej, pewnego wieczora, nie zmówiwszy nawet pacierza, poszedł na te same rozstajne drogi, na których spotkał Belzebuba. Czekał długo i przejęty był zimnem aż do śpiku kości, a nie spotkał jeszcze nieprzyjaciela rodzaju ludzkiego. Zamiast, żeby podziękować Bogu, iż uniknął niebezpieczeństwa, na jakie wystawiło go jego złe natchnienie, to przypomniał sobie zaklęcie jakieś, które wyczytał w starych złych księgach, co u siebie pilnie przechowywał; wrócił więc do domu, przeczytał to dzieło pełne sztuk djabelskich i idąc za temi wskazówkami, wziął czarną kurkę, która jeszcze nie niosła, poszedł na rozstajne drogi i o północy zakreślił koło różdżką cyprysową, sam zaś stanął w kole i trzy razy powtarzał jakieś słowa wskazane w księdze kabalistycznej.

Natychmiast płomień wytrysnął ze ziemi i Belzebub ukazał się; lecz Antoni nie zadrżał wcale.

— Czego chcesz odemnie?

— Chcę zawrzeć z tobą umowę.

— Aha! mam cię! zmusiłem cię jednak do tego, żebyś mnie odszukał.

— Prawda.

— Czy myślisz, że pozwolę się dać w pole wywieść takiemu chłopu, jak ty?

— To nie ja; to moja żona (od czasu Adama fałszywy ten powód ciągle podawanym bywa).

— Dosyć już tego! czego chcesz?

— Chcę, żebyś mi nie przeszkadzał w dokończeniu stodoły przez ciebie wystawionej.

— Będziesz mógł jej dokończyć, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Że oddasz mi dziecko, które ci się narodzi.

— Duszę dziecka mego, nie nigdy! Moję duszę ci oddam, jeżeli żądasz!

— Twoję! O twoję wcale mi trudno nie będzie. Córki twojej potrzebuję; zresztą nic na tym ona nie straci, gdyż zostanie księżną.

Ciąg dalszy nastąpi.

FIJOŁEK.

BAJKA.

Przed wielu, wielu laty, stał, na wysokiej górze, ogromny, wspaniały zamek, a w nim mieszkał zły, dumny rycerz, ze swoją małżonką. Wokoło zamku, w małych, nędznych chałupkach, mieszkali ich poddani, dręczeni nielitościwie przez złego pana.

Surowy pan miał małego synka, milutkiego blondynka, z ślicznemi, o barwie fijołków, oczkami.

Chłopczykowi temu na imię było Fijołek. O ile rodzice byli surowi i niedostępni dla wszystkich, o tyle Fijołek był zawsze grzecznym i uprzejmym, serduszko jego było czułe na każde nieszczęście i cierpienia, mała jego rączka wiele dobrego świadczyła biednym; był też zawsze cichym i skromnym, dla każdego miał miłe słowo i wchodził do najnędzniejszej chatki, aby własną ręką rozdawać biednym swoje zaoszczędzone pieniądze lub przysmaki.

Często, o szarej godzinie, wysuwał

się Fijolek z zamku i wązką drożyną spieszył do małej lepianki, ukrytej w głębi lasu, gdzie mieszkał staruszek pustelnik, żywiąc się tylko jagodami i korzonkami.

Na darniowej ławce, co wieczór, siadywał staruszek, a u nóg jego, na mchu miękkim siadał Fijołek, otoczony dziećmi niektórych swoich poddanych. Staruszek opowiadał im różne historye: o Niebie, o Bogu Wielkim i Wszechpotężnym, o Jezusie Chrystusie, tym Białym Baranku, który za grzechy nasze poświęcił Swoje życie, dał się przybić na krzyżu, a teraz żyje i króluje w niebie, kocha małe, pobożne dzieci, a dobrym ludziom zsyła pociechę. Opowiadał długie historye o Świętych, Męczennikach, których piekli, smażyli, dawali na pożarcie dzikim zwierzętom, wyrywali języki, wykłówali oczy, aby wyrzekli się tego Boga Wielkiego, ale Oni woleli najsroższe wycierpieć katusze niż wyrzec się swej wiary. Opowiadał im o słońcu, księżycu i gwiazdach, a dzieci, zasłuchane, wpatrywały się z uwielbieniem w siwego staruszka, zapominając o całym świecie.

Zwykle, gdy księżyc już wysoko wszedł na niebo, odprowadzał staruszek swoich gości do brzegu lasu, skąd dzieci cichutko rozchodziły się do domów. Rodzice ich byli jeszcze poganami, nie chcieli wierzyć w Wielkiego, Jedynego Boga, tylko kłaniali się drewnianym, lub kamiennym bałwanom, ślepo wierząc w ich potęgę. Tępili oni zawzięcie wszystkich chrześcian, których spotykali w blizkości swoich siedzib.

W pogańskich tych czasach, wszystkie kraje były bez przerwy prawie pustoszone przez dzikie hordy wędrownych ludów, które po drodze zostawiały wszędzie za sobą tlejące zgliszcza i zniszczenie.

Właśnie horda taka zbliżała się do zamku rodziców Fijołka, gdzie zawczasu, przygotowano się do obrony.

Pewnego wiosennego wieczora, mała gromadka dzieci, biegła, jak zwykle przez las, do mieszkania swego starego przyjaciela.

Tego wieczora, pustelnik mówił z niemi długo i serdecznie, ze łzami w oczach żegnał i błogosławił swoich małych słuchaczy. Dzieci, wziąwszy się za ręce, spieszyły do domu. Zdala dochodziły do nich jakieś niewyraźne krzyki, wołania, tętent końskich kopyt, a w oddaleniu niebo zdawało się być jakby zaróżowione krwawą łuną. Krzyki stawały się coraz bliższemi i dzieci, wyszedłszy z lasu na otwartą polankę, stanęły przerażone: rodzinne gniazdo Fijołka stało w płomieniach, a w około płonącego zamku, snuły się chmary konnych i pieszych barbarzyńców. Przerażone dzieci, nie wiedząc co czynić, gdzie szukać ratunku i schronienia, zawróciły do chatki staruszka, aby schować się pod jego opiekuńcze skrzydła. Lecz i tu widok straszny przedstawił się ich oczom: staruszek, przed chwilą żywy, leżał teraz na ziemi z roztrzaskaną głową, a lepianka otoczona była hordą tatarską. Czerń ta podpalała właśnie lepiankę. Wtem jeden z Tatarów ujrzał pod drzewem skupioną gromadkę przerażonych dzieci i pokazawszy je towarzyszom, rzucił się na biedactwa z bronią w ręku.

Fijołek otoczył rączkami swoich towarzyszy i stanąwszy przed nimi, zasłonił ich swoją osobą przed napadem. Nagle radosna myśl błysnęła w jego głowie.

— O, Jezusie! Biały Baranku! — zawołał — ochroń i pomóż nam!

W tej chwili, zanim Tatarzy dopadli do dzieci, gęsta mgła zakryła całe drzewo, a kiedy nareszcie dotarli do niego, nigdzie naokół nikogo nie było, tylko w trawie, schowana pod delikatnemi, zielonemi listkami, rosła kępka fijołkowych, ślicznych kwiatków, wychylających się z pod trawki na świat Boży.

Od tego czasu, rosną śliczne fijołki we wszystkich ogrodach, parkach i lasach; choć zawsze skromnie chowają się pod listkami, jednak szukają ich wszyscy, radzi jeśli je znajdują.